



Edward Krupa

część I z II

Sygnatura notacji: **N1015**

Data urodzenia: **09.11.1921 r.**

Data nagrania: **19.01.2018 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Naperville k. Chicago, Stany Zjednoczone**

Prowadząca/y rozmowę: **Rafał Pękała**

Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 60 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Rafał Pękała: Kiedy pan się urodził?

Edward Krupa: W 1921 roku, 9 listopada, w powiecie rzeszowskim. W 1921 roku.

Rafał Pękała: Proszę powiedzieć coś o pana rodzinie. Kim była pana mama, pana tata?

Edward Krupa: Mama pochodziła z Sikorów. Sikory. Był Jan Sikora, a jej matka była, zdaje się Maria Sikora, jak się nie... To już nie pamiętam tych babek tam specjalnie. A mój ojciec pochodził z Krupów. Izydor Krupa. On był w czasie wojny w armii pod zaborem austriackim i tam jego zabrali na wojnę też [niezrozumiałe, 00:01:26], później jak to się wszystko zmieniło, od razu był w armii polskiej jako weteran. I w armii był, jak się wojna skończyła, to zdaje się był do lat, gdzieś dokładnie nawet go mam na zdjęciu tam, wie pan, to pokażę później ojca, jak był w tej armii, w tym mundurze jeszcze. A my się urodziliśmy w powiecie Rzeszów, województwo lwowskie. Nazwa Sołonka. Teraz tam jest bardzo tak jak, można powiedzieć, zjeżdżają się ludzie, bo tam słona woda jest. To zjeżdżają się tam ludzie z dalekich stron, żeby zwiedzić tę wioskę. Należało to do Krupów wszystko. Mój dziadek był bardzo bogaty. A myśmy należeli gdzieś tam do jakiejś szlachty. Mego dziadka Krupy brat gdzieś się ożenił z jakąś szlachciczką, którzy wtenczas, jak to w Rosji było wielkie zamieszanie, komuniści obejmowali, to wszystkich tam, kogo złapali, to zamordowali. Mego ojca brat, nie ojca, ale mojego dziadka brat jednego jakiegoś z tych szlachciców przewiózł furmanką przez las. Nakrył go konarami, co to z drzewa i przewiózł jego w kierunku tu do tej wioski. I on się ożenił z jego córką, tego szlachcica, ten brat. Ten dziadka brat. I on był jakimś tam później starszym tych wiosek całych, a ona była nauczycielką. I tak

pochodzimy z tej rodziny takiej... I później... ale tam, ten majątek, co myśmy mieli, myśmy tam chowali kilka krów, kilka baranów. Majątek nie był tam specjalnie tak dobry, bo to było dużo lasów, państwowe później, koło państwowych lasów i tak dalej, i tak dalej. I na Podolu, Kamień Podolski, to nazywali Kamień Podolski. Był tam dwór, co miała ten dwór pani Lisicka. Pan Lisicki zmarł, a ona jako wdowa później tego nie mogła utrzymać, bo tam mieli jakieś długi na tym majątku i to objął rząd polski, ten majątek. I sprzedawał dla weteranów, polskich weteranów, którzy walczyli pod Piłsudskim i tak dalej. Ojciec, bo to było dużo, nas było dziewięć dzieci.

Rafał Pękała: O, to duża rodzina.

Edward Krupa: Wszystko po dwa lata.

Rafał Pękała: A pan był który w kolejności?

Edward Krupa: Ja byłem drugi. Moja siostra była, ta, co w lotnictwie w Anglii, była...

Rafał Pękała: Ta starsza, tak?

Edward Krupa: Dwa lata starsza, później ja dwa lata od niej młodszy i ten brat, który był u generała Kopańskiego w armii też. To był cztery lata młodszy od mojej siostry, a ode mnie dwa lata. I reszta tak po dwa lata. I ojciec zdecydował, pojechał tam na to Podole, tam za Zaleszczyki i tak dalej, ale to było tam, Kamień Podolski nazywał się, Dźwiniacka. To było w Dźwiniacy. I kupił tam majątek, bo był jako weteran, mógł kupić, ile chciał, to co. Kupił tam, ile tam mógł. Sprzedał ojciec ten majątek. Tam odkupili od niego bracia i tam siostry, i tak dalej. I tam się wybudował. To było w 1921, to było w chyba 1937 roku. W 1937 roku to było. Może zszedł mi z ust, bo ja już miałem 17. rok od tego. Ojciec pojechał tam, ale to wszystko zostawił tutaj i kupił tam majątek. Kilka hektarów, mórg. Ziemie tam były wspaniałe, urodzajne, bardzo urodzajne. I tam się nam dobrze... Wybudował, bo myśmy mieli koło Rzeszowa, w tej Sołonce swój las, bo ojciec miał dużo lasów tam i każdemu dał ze swoich dzieci tam kilka hektarów lasów. To myśmy dość dużo lasu, to ojciec tam w Sołonce się wybudował z drzewa, ze swojego, i jak myśmy wyjeżdżali na Podole...

Rafał Pękała: Jak się miejscowość nazywała tam, gdzie ojciec wybudował czy kupił ten majątek, co to była za miejscowość?

Edward Krupa: To była Dźwiniacka. Dźwiniacka, a ostatnia stacja kolejowa była... Holender, ale ja to mam zapisane tam. Przecież to tak, ale to człowiekowi wyszło z głowy.

Rafał Pękała: Bo to było niedaleko Kamieńca Podolskiego, tak?

Edward Krupa: Tak, to było od nas do tej stacji kolejowej jakieś ze 12 albo 13 kilometrów.

Rafał Pękała: I proszę powiedzieć, tam na ten majątek przeprowadziliście się wszyscy?

Edward Krupa: Oj, ten majątek ojciec tam pojechał, i tam wszyscy koloniści, którzy pokupowali ze wszystkich stron, gdzie oni w Polsce mieszkali, pokupili i tam się pobudowali, ile kto miał tam pieniędzy. Ojciec tam kupił w ogrodzie, ogród, kupił hektar ogrodu. Bo ta pani Lisicka miała duży, ogromny ogród z owocami. Grusze były, jabłonki, orzechy włoskie, czy jakieś. To pokupili koloniści sobie po kawałek tego ogrodu i tam się budowali, a resztę później, już tam jak zakupiona, rozkupili, to kupowali tam, gdzie kupił majątek, bo ten majątek był w jednym miejscu. Ogromne jak to te dwory polskie. Na pewno pan pamięta. Te takie duże. Pałac, wszędzie się rozbudował. Każdy kupił tam, ile hektarów mógł kupić i tam się wybudowali, to blisko było. Jeden, tu jeden, tu, tam, naokoło. A przez sad zrobili, przez środek taką szosą ładną zrobili. Mój ojciec się tam wybudował, bo miał dużo swego drzewa, to zamówił wagon i tam myśmy zwozili z tego lasu to drzewo już gotowe. W tartaku, w [niezrozumiałe, 00:10:07] tam. Obrobił na deski, na tego. I przyjechaliśmy na Podole, ale tam na Podolu wybudował z cegły, a tylko dach i tam wszystkie, gdzie potrzeba było tego drzewa, bo jeden wagon ojciec zamówił samego drzewa. Drugi wagon co trzodę wziął, krowy, konia i co tam miał. Raz to tam świnki były. To sprzedali. Mieli trzy krówki i konia, a tę trzodę drobną to sprzedali. Tam wybudował stajnię też na te krówki, tego konia i dom jeszcze nawet nie był wykończony kompletnie. To tak dwa lata to wszystko. A myśmy jeszcze dalej, rodzina dalej była. A ojciec już pozasiewał tam, pojechał kilka razy tam z innymi gośćmi, tam pozasiewali, to wybudował się później ten dom i nas później zabrał tam ten cały wagon znowu, to miał trzy wagony, bo jeden wagon drzewa, jeden wagon był z trzodą, a drugi wagon z nami. To myśmy wyjechali osobowym takim. Bo trzoda w jednym wagonie. I tam wybudował dom, wszystko, to już się fajnie zrobiło. Dobrze się powodziło, bo tam majątek był dość dobry, bardzo się rodziło wszystko. I cichło. Koloniści się tam pojeżdżali, też pobudowali dom. Może tam było chyba około 80, może około 100 domów. Tak, tam, gdzie kupili majątek, tam se pobudowali. A w sadzie tę drogę to z jednej strony koloniści się wybudowali, tak dużo mieli i z drugiej strony się pobudowali tej szosy. I wojna, stąd, nie stąd jesień tak, przed jesienią, latem ja należałem do strzelców, bo już tak 16., 17. rok i wszystkich strzelców powołali do Barszczowa. Do Barszczowa. Tam, gdzie było wojsko polskie. I tam nas przez dwa tygodnie ćwiczenia, tam różne ćwiczenia przechodzili. Jak strzelać, karabiny nam dali, przewozić różne tam rzeczy wojskowe na plecach tu i tam. Nieraz to tak bardzo zmęczone było, bo to tak nas tam fest. Różne ćwiczenia tam przechodziłem wojskowe już tak na wojnę. Bo tam było już, mieli znaki, granica, gdzie Niemcy mieli granicę z Polską, to już tam gdzieś były wypadki, gdzie było zastrzelonych paru żołnierzy polskich, na granicy gdzieś przechodzili i tak dalej, więc to szykowali się, dowiedzieli, że to Niemcy zrobią napad na wioskę. Ale my byli daleko, bo to myśmy się wybudowali, to było tam w samym tym kornierze na Besarabii, co tu nazywali Kamień Podolski. 7 kilometrów od granicy rumuńskiej, a 12 kilometrów od granicy rosyjskiej. I tam pomiędzy Dniepr i Zbrucz. Dniepr graniczył się z Rumunią i wpadał do Zbruczu. I Zbrucz graniczył się z granicą rosyjską, to tam na połowę rzeki był rosyjski, wybudowali, tam był młyn, co tam myśmy wozili zboże, żeby mieć na mąkę na chleb, bo to wtenczas to rodzice piekli w domach. Matka piekła na cały tydzień. Wybudowany był w domu piec specjalnie na chleb i tam drugi na gotowanie różnych rzeczy i tak dalej. To tam my wozili właśnie do tego młyna. To ja się tam nieraz napatrzył, bo to wojsko rosyjskie chodziło, gdzieś tam tak spacerowało, przeszli gdzieś tam. Jak się zmieniali gdzieś tam, to było ich widać. I tam było nawet widać na drugiej stronie tej rzeki Zbruczu, ludzie jak pracowali tam na kołchozach czy co.

Rafał Pękała: A po przeszkoleniu tym wojskowym, to co robiliście? Jak już skończyło się szkolenie wojskowe.

Edward Krupa: Tam na wojnę?

Rafał Pękała: To po tym szkoleniu, co was wzięli do Barszczowa.

Edward Krupa: W Barszczowie mieliśmy takie wojskowe przeszkolenia, tak.

Rafał Pękała: Ale po tym co robiliście? Poszliście gdzieś na jakąś wartę?

Edward Krupa: Chodziliśmy na strzelnicę specjalne, uczyli nas strzelać, jak trzymać na oku, na lewym oku te karabiny, dali nam karabiny i bagnety. Tak jak wojsko myśmy tam byli. I jak nadszedł obiad, to wszystkich na obiad nas. Wojskowe kuchnie tam były, to samo my dostawali, co wojsko, to tak nas mieli, jak tam wojsko. Ćwiczenia różne, nosić te różne rzeczy wojskowe i tak dalej, i przenosić czasem, wymarsze, to tak nas dobrze męczyli, bo to człowiek nie był nauczony, a to trzeba było nieraz kilka albo paręnaście kilometrów iść z jakimś equipment, plecaki jakieś tam dali, wszystko. I później po tych ćwiczeniach nas puścili z powrotem do domu. Ale już my dużo się nauczyli, ale tam myśmy byli w Strzelcach, to też dużo nas to uczyli wszystko. Wojenne takie rzeczy, jak strzelać, też na strzelnicę nas brali. Ja już miałem 17 lat, 17. rok.

Rafał Pękała: A w Strzelcu pan jakąś funkcję pełnił?

Edward Krupa: Nie.

Rafał Pękała: Nie?

Edward Krupa: Stąd ni zowąd jeszcze nadeszła, Niemcy zaatakowali Polskę. Niemcy z jednej strony, a Rosjanie z tej strony idą. Bo to było zaraz blisko nas. A sosna prowadziła tam do tej stacji kolejowej Iwanie Puste, o. Stacja kolejowa ostatnia, Iwanie Puste. Tam była, tylko kolonie też polskie były. A dużo kolonistów było też w Zaleszczykach. Tam było bardzo dużo Polaków. To myśmy mieli szczęście, bo Rosjanie już zwieszani, jak już Niemcy za... a Rosjanie, tu myśmy czekamy. Co to się to dzieje, my nawet nie wiedzieli, bo myśmy nie widzieli Niemców, bo tu Rosjanie z tej strony na Lwów tam w kierunku, a Barszczów, Lwów, a ostatnie miasteczko, gdzie ma tam byli najbliżej, to była Mielnica. Nazywała się Mielnica. W tym miasteczku tam było różnych, gdzie tam wyrabiali różne piekarnie i tam różne, dużo, można było wszystkie ubrania czy tam płaszcze, przeważnie Żydzi tam mieli te kioski wszystkie. Wędzarnie, te kielbasy robili, tam wszystko, co... Jak Rosjanie weszli, to tam wszystko wybrali, wykupili, nie było nic. Już żeś tam nic nie kupił, bo oni wszystko zabrali. Na tych koniach jechali, to kielbasę trzymał i jadł. Bo to oni tam, w Rosji był głód już. Też tam nie było wiele, bo to wojna, to oni tam już... Oni tam też byli biedakami. A my nie wiemy, co się dzieje. Mówię, no, co, a to, mówię oni nas oswobodzić przyjechali, żeby Niemcy nas tu nie zabrali. Tam rozmawiali po rosyjsku, bo myśmy tam już rozmawiali, to byli grzeczni tacy, co jechali tam w tamtym kierunku. To jechali z różnymi batorami dzień i noc jechali przez jakieś dwa tygodnie. Nie wiem, co, różne, i końmi, jakimiś wozami, tych wozów różnych takich jakichś ich pancernych i takich wozów różnych. Wszystko gdzieś tam pchali w kierunku Lwowa. A my nie wiedzieliśmy, co się tam dzieje. Siedzimy, tylko święta nadeszły. Święta, świętujemy, Boże Narodzenie. To było

w 1939 roku już, jak ta wojna się rozpoczęła. Boże Narodzenie, wszystkie drzewka tam, nowy rok. Ale w czasie przed Bożym Narodzeniem jeszcze kilka tygodni wojska pełno było w naszych ogrodach, rosyjskiego wojska. Mieli jakieś ćwiczenia, tam mieli kuchnię, to blisko naszego domu nawet. Nawet przychodzili do nas, do matki i kupowali ziemniaki, bo oni mieli tam kuchnię, sobie gotowali. A myślimy, to ćwiczenia jakieś mają, a oni mieli specjalnie takich, wystali taką jakąś armię rosyjską, żeby to wszystko skontrolować, że jak to ta kolonia wygląda, ile to w każdym domu tam ludzi jest, to tam zaszli do każdego domu. Gdzieś tam jeden żołnierz do tych kolonistów i tam coś, że to kupić, coś tam. A oni się rozglądali i już robili, ile tam wojska mają wysłać na deportację. To było gdzieś tak w połowie stycznia. Coś tak było chyba ze dwa albo trzy tygodnie po nowym roku. Ja raniutko poszedłem do stajni dać trzodzie, tam koniowi, krówkom jedzenie i tam świnki były, coś tam. Bo mama, później moja matka tam robiła. Moja matka miała zawsze na chleb taką dużą dzieżkę na cały, bo mama piekła na cały tydzień, a ojciec rozpałał drzewem w kuchni i w tym piecu na ten chleb, to było jeszcze ciemnawo, bo to w zimie krótki dzień. A ja w stajni tam byłem, konikowi dawałem jeść i tam krówkom siano. I słyszę, moja siostra wyszła na pole z ogrodu i krzyczy: „Edek! Edek! Chodź, bo nas zabierają!”, ta starsza siostra, co później w lotnictwie. Ja się tak przestraszyłem, co to ona tam, w głowie jej coś się pomyliło? Ale okna, tak było to blisko. Zawsze można było patrzeć na drzwi domu, bo stodoła była bardzo blisko tutaj i ta stajnia. Ja się patrzę przez to okno. Rosyjski żołnierz stoi koło drzwi. Karabin z bagnetem na szyi, jeden stoi koło drzwi, a drugi w środku. Ale nie wiem, co się dzieje, o, Matko Boska. Ja się przestraszyłem, takie może: „Co się dzieje?”. Zostawiłem to, po drabinie na strych wpadłem. Wszedłem w siano, w słomę, przykryłem się i myślę sobie: „Oni mnie tu nie znajdą”. Bo jak wywozą moją rodzinę, ale mnie tu nie znajdą. Ale przyszło mi do głowy, żeby... coś tak natchnęło mnie, żeby tu stąd wyjść i iść do rodziny, co im będzie, to i tobie. Wyszedłem z tego siana i wychodzę, a ten żołnierz pchnął mnie do środka, a matka płacze, ubiera te dzieci, ojciec też i mówi: „Edek, ubieraj się, co możesz na siebie, bo nas stąd zabierają, gdzieś nas zabierają”. „Ale gdzie?” „No, nikt nie wie gdzie. I kazali brać, co możesz wziąć, ale tylko tyle możesz wziąć, co możesz wziąć ze sobą. No, to co możesz wziąć ze sobą, kazali brać wiadra, co możesz, jakie garczki. Po wojnie, bo on tam w I wojnie światowej, to mieli nie takie jak... Myśmy mieli o wiele lepiej, bo myśmy już mieli transportację, wszystko samochodami, czołgami, wozami różnymi. A oni to tam tylko końmi albo tam gdzieś tylko polami gdzieś mogli się, a tak to na piechotę wszędzie, bo zima, to był prze... I tam później był ranny w czasie tej I wojny. Nie miał dobrego zdrowia. Już tak trochu, ale tam łaził pomału tu i tam. Ojciec nie miał takiego dobrego zdrowia, wie pan. Bo był przeziębiony tam na tej wojnie tu i tam. To tam nieraz morko czy tam... Ale szedł, ale chodził tak. Tam sobie dawał radę. Ale nie miał tego. Pod każdy dom zaszli po dwóch żołnierzy do tych kolonistów, wie pan. Dali po pół godziny się zebrać każdemu, ale zlitowali się nad moją rodziną, bo tyle tych małych dzieci, widzą, że to takie malutkie jedno, dopiero ma półtora roku. To dali trochę więcej, żeby się zebrać, poubierać i zabrać, co możesz do ręki. Każdy coś wziął i te ukraińskie wozy, bo to była zima, na saniach podjeżdżali pod każdy dom, gdzie była potrzeba, gdzie były małe dzieci i jacyś starcy, co nie mogli iść, to na te sanie kazali wsiadać i tym dzieciom, i tym starszkom, a resztę na piechotę do Iwania Pusta tam, do tej stacji kolejowej, pierwsza tam się zaczęła. I pozbierali tych wszystkich kolonistów, porzostawiali koło szosy, ze strony pełno wszystko stało, takie grupy, matki, dzieci, ojcowie. Było dużo zdrowych ludzi wojskowych. I wszystko czekało. Jak już zebraли wszystkich w to miejsce, taki ogromny pas był tych kolonistów z dziećmi, z matkami. Te matki płaczą, Jezus kochany, dzieci płaczą, nie wiedzą, co robić, bo to zima, tylko zimno. Wszystkich usadowili na te sanie, kto nie mógł... To było dużo Ukraińców, a wszystko z saniami, bo to zima była, zawałone wszędzie. I do przodu, do stacji kolejowej było jakieś 12 albo 14 kilometrów, najbliższa stacja kolejowa. I żołnierzy pełno na koniach rosyjskich. Tym, co mogli iść,

kazali iść ze wszystkim, a te rupiecie tam niektóre, co takie, to kazali też na te sanie powkładać. I gdzie jedziemy? No, do stacji kolejowej. Ojciec, też kazali mu usiąść, bo gdzie miał na te sanie z dziećmi, to tam razem. A my: siostra, brat, mama, bo mama zdrowa też była i jeszcze dwa lata młodszy. A raz szedł na saniach i też w dwie. I wjeżdża do stacji kolejowej. A gdzie nas wiozą? Pytają się tam niektórzy. „A to wiozą nas tam, gdzieśmy się urodzili”. Tam, do tych wiosek, tych samych. To chyba tam wiozą, no, tak. A później pytają się dalej, gdzie wiozą. „A, tam, wyjeżdża, bo tam wam będzie hałasował. Tam będzie wam dobrze”, mówi. „Pouczycie wszystko, dostaniecie wszystko. Tam niczego nie potrzeba”. Nic wam nie będzie potrzebne, bo oni tam wszystko wam dadzą.

Rafał Pękała: To śmieje się pan, bo to nie była prawda?

Edward Krupa: To prawda była święta. To nad tym można płakać było, ale to człowiek się śmieje, że tak. Teraz się może śmiać, ale wtenczas była rozpacz. Nikt się nie śmiał, ale każdy w płaczu był. Wjeżdża, już blisko tego, myśmy doszli, a to zima była, zimno, ale to wszystko tam, jak się mógł człowiek, to poubierał, co tam wszystko miał. Co mogli, to zabrać, jaki chleb miał, czy jakieś coś, to nawet niektórzy do worka jakiegoś zboża wziąć ze sobą tam. Moja matka nawet dużo nie, bo wzięła tam troszku coś mąki i tam pszenicy trochę też w jakiś worek. Na te sanie tam powkładali, to oni tam wszystko ładowali znowu na inny wagon, te, co, kto miał. Ale to tak nawalili, tu tak, tu tak. Na wszystko razem. Wszystkich kolonistów, to nie było im wiadomo, gdzie, co szukać później. Ale to nie jest ważne, to już ostatnia. „A gdzie nas wieziecie?” „A, mówię tam wiozą was, bo tu wojna jest. Tu nie możecie być. Tam wam będzie dobrze, tam wszystko dostaniecie”. Tak. No, tak. A tam pełno wagonów, już jak my doszli na tej Iwanie Puste. Pełno takich krów, jak to zwierzęta wiozą, czy tam coś. Ale tam pełne, już niektóre były pełne, zawalone. Tych kolonistów też tam z innych okolic wieźli. Tam się zatrzymali i nas wszystkich do tych wagonów wszystko zapakowali, ile się tam można zmieścić było. Siedzieć nie było tam gdzie, to tam jeden siedział, to jakieś prycze tam były, na tych pryczach, kto chory był, jakieś tam dzieci, to trochę na te prycze. A my to tam siedzieli gdzieś na podłodze tu i tam. I wiozą nas. Ale gdzie? Nikt nie wie. A że pytali, no, to powiedzieli tak, jak ja mówiłem do pana. A tam wychodzili, ludzie już wiedzieli, że nas deportują. To jak widzieli, że ta kolej się zatrzymała, to Polacy wynosili, tam kobiety jakąś zupę dla nas czy coś, ale nie dali nikomu, żeby brać. Musieli się z powrotem wrócić. Dowiedzieli nas tam, ja nawet nie wiem gdzie, to już zapomniałem, jak się nazywa stacja. Tam blisko było stacja polska i stacja rosyjska. Tam kazali nam wysiadać i przekroczyć tę granicę z tego, bo stacja kolejowa, rosyjskie wagony były szersze, to nie mogli włączyć polskich, bo tory były szersze od polskich. To już wszystko, tam już były wagony przygotowane i wszystkich tam nas ładowali do wagonów, ile tam się zmieściło. Do rosyjskich wagonów. Jak już wszystko się uspokoiło, wszystkich wyładowali na rosyjskie wagony, a to nie było tak daleko może, może było jakieś od polskich stacji kolejowych do może z 1000 metrów, może coś w tym rodzaju. Przechodziło się tam. Co przechodziła rosyjska tam na... Tam były wagony już przygotowane te rosyjskie, załadowali wszystkich w te wagony rosyjskie i odjazd. Do każdego wagonu rosyjski żołnierz wsiadł. Koło drzwi tam miał ławkę, a tu, żeby kto nie uciekł, że wszystkie pilnowali, ogromnie pilnowali, że nikt nie mógł uciec. Wszystkich, żeby tam... I wiozą już. Cały dzień wiozą, a nareszcie tam stacja jakoś, w jakimś dużym mieście rosyjskim zatrzymał się pociąg. Ten żołnierz rosyjski, on tam wiedział, ilu tu w tym wagonie jest ludzi, ile dzieci, ile jest starszych. Każdemu dał kwitek i kazał zabrać, kazali wiadra takie, jak to na wodę były. Tam była już ta karteczka, żołnierze rosyjscy co się tam stołowali, mieli tam kuchnię, nagotowane całe te duże kotły, jakieś paciury tam, takie łby z ryb tam. I tam podchodziło się, ja byłem najstarszy, to kazali mi... Wiadro zabrałem i kazali mi z tym

kwiłkiem iść na całą rodzinę tam, aż pokażą temu kucharzowi ten kwitek, tam było spisane ile ludzi jest, na ile ludzi. Każdemu tam tę chochlę zupy do tego wiadra i tam później matka dzieliła każdemu tę zupę. Bo nic więcej nie było. Wszystkim tam już nadawali to jedzenie, ten każdy wagon tam podchodził i każdemu. I tę zupę matka rozdzieliła dla każdego. Co tam było, to wszystko dobre było. Każdy głodny był. Wszystko już powchodziło, zostali, wszyscy powchodzili, pozakręcali wagony i odjazd. I dali jechać. Znowu jedziemy, tam jedziemy dzień i noc. Następny dzień znowu się tam gdzie zatrzymał w jakimś niedużym mieście. I znowu kazali, to samo było. Kazali wyjść tam, dać, nagotowane było, jakieś wojsko, to tam się gotowało rosyjskie. W tych kotłach pełno, tak duże kotły. Znowu tam jakichś tych zup, jakichś karpielei tam. Nie wiadomo, z czego tam było. Coś tam dali, był jakiś kawałek karpieła, czy tam ziemniaka, czy tam marchwi, czy tam ryby jakieś, tam z łba, skądś. I tam znowu na polu jakiś kran, tam jakiś żołnierz stał i kazali wodę se... kipiatok, to była niby to przegotowana woda czy tam coś. Każdemu tam dali do wiadra tę wodę, żeby wodę ze sobą też wziął. Jak już wszystko się uspokoiło i znowu odjazd. I tak było gdzieś, jechaliśmy gdzieś przez dwa tygodnie. Dzień i noc. Czasem takie ogromne całuny, czasem się zatrzymał ten pociąg gdzieś tam w pustyni jakiejś. To była zima jeszcze tam. I kazali wyjść, i komuś tam potrzeba gdzieś iść, oddać jakieś... Czy załatwić się, czy coś. Każdy gdzieś tam gdzieś leciał załatwić się. I śnieg był, to już wody nie było, to nabieraliśmy w te wiadra śniegu. Się topiło, to była woda do picia, bo nie było wody do picia ani nic. Tam dawali trochę, ale to było za mało. Ale tam nie można się było... Oni nie wiedzieli, że tam nikt nie ucieknie, bo to były pustynie. Pustynie i pustynie, jechało się czasem przez tydzień przez jakieś pustynie. Krzaki tylko było widać, jakieś takie rzeczy, a nie było nic, tylko... Nic tam nie było, jakieś pustynie. To Syberia, gdzieś w kierunku Syberii. Ale już my zajechali przez kilka, takie, jak gdzieś tam Ałmata i tam jakieś inne duże miasta, a było tam kilku kolonistów, to jeszcze w takim dobrym stanie. Może mieli po 40 lat albo coś. I oni byli w rosyjskim wojsku. I mówię: „Wiedzie panowie, gdzie nas wiozq?” „Na Syberię”. Bo oni już wiedzieli, bo oni byli w wojsku rosyjskim i przewozili jakichś tam zakładników na Syberię. Ich tam odwozili właśnie, tych zakładników. „Wiedzie panowie, gdzie nas wiozq?”. Bo oni już wiedzieli, bo przejeżdżali przez te miasta w kierunku Syberii. Na Syberię nas wiozq i tak było. Nareszcie my dojechali za jakieś dwa tygodnie, jakieś, coś tam się przez... I kazali wysiadać. Wysiadamy, a tam nic nie ma, tylko tartak był, co tam drzewa z lasu, co karczowali te lasy i drzewa tam zwozili, tam oprawiali. Robili te spały pod tory kolejowe tam i różne, jakie im tam potrzeba było, bo tam zwozili właśnie, co lasowatka była, co cięli te drzewa i później kolejkami takimi małymi ładowali to, tam już mieli traktory, traktorami trochę, a resztę końmi. I kazali wysiadać, i iść w kierunku. Prowadzą nas. Podchodzimy tam, a tam pełno baraków, takich ogromnych, naokoło. Te baraki były puste, ale już tam napalone, tam piece były na środku takie okrągłaki i tam palili, to się ogrzewały, tam można na tym było coś ugotować czy tam coś. Do każdego baraka tam przydzielili tyle i tyle. Ale to tyle ludzi. Kazali sobie wziąć, każdy ze swoją rodziną dostał taki, mógł się tam położyć na podłodze, co tam miał jakieś koce ze sobą czy tam jakieś płaszcze i spać na tej podłodze, to było z desek. Bo wszyscy się... I tam było parę tylko takich pryczy, o, takich podobne jak te, ale to małe pryczne takie, co na tych pryczach tam spali. Ale to tylko para starców jakichś czy co. Raz tam podawali taki kawałek jak tu, jak w tym domu to było: raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć. Może sześć rodzin. To zależy, jaka rodzina była. Kawałek jeden koło drugiego tak prawie spali przez jakiś tydzień. I to w tych barakach wszystkich tam ulokowali, ale pamiętam, gdzie moją rodzinę ulokowali, gdzie nas ulokowali. Później przyszli na jakichś wysokich stanowiskach te konsomolce czy jakieś tam. Kantory, to jak oni to nazywali, kantora. I spisywali, kto może iść do pracy, a dzieci małe, ile dzieci, kto może tak do 14 lat, a takie małe, co mogą do szkoły iść, to do szkoły mogą iść tam rosyjskiej, a małe dzieci w barakach zostawiali. Kto zdrowy, to mógł do pracy, wszystko do pracy i tam przedzielili rosyjski, jak oni to kazali nazywać „precie-

daczel". Mojego brata, moją mamę i moją siostrę przydzielili do lasowałki. Iść do lasu, tam... O, brygadier rosyjski. Nazywał się brygadier. To Rosjana przydzielili. Mówi: „O, ty będziesz należał do tej brygady. Co ci powie, to masz zrobić”. A myśmy tam się mieli spotkać w tej piłowarce. Piłowali, co tam zdawali te topory, siekiery, piły, różne młoty. Ci, co do lasu szli mieli zrzucać te ogromne drzewa takie, zrzucać i później obcinać konary. Te konary później przecinać, bo tam był ten cały, co mierzył i kredą naznaczył, gdzie ma, na jakie części to drzewo przetrząć i te konary obciąć, ale zimno, rany boskie, to na Syberii. Po poniżej 40 stopnia to trzeba było pracować. Jak już było blisko 50, to już nie wolno iść, bo by się zamroził człowiek tam. Ale to po śniegach trzeba było iść. Człowiek nie miał butów na to. To po kolana śniegi. Tam nigdy do tego lasu trzeba było iść, bo tam blisko były te baraki, ale to ciąli te drzewa i coraz dalej, coraz dalej trzeba było iść te drzewa ciąć. To zanim doszedł do tego drzewa, to po takich śniegach po pas. Łopaty podali te takie drewniane, trzeba było nieść te piły, siekiery ze sobą i drewniane łopaty. I koło tego drzewa trzeba było odwalić ten śnieg naokoło. To było może ze półtora metra śniegu tam, jak wszedł, że jakby go poderznąć później naokoło. I to drzewo albo z bratem, albo z siostrą, albo z moją matką. Jeden ciągnął w tę stronę, takie piły duże były, co ścinał te piłowarki tam, cośmy dostawali te piły, te siekiery, topory. I tak to trzeba było ze sobą targać, nieść. I te drewniane łopaty, to z desek takie zrobione specjalnie łopaty. Jak to drzewo już poderznął, to ja tak nie wiedział, to ja się bałem, bo to myślę sobie: „Jezus kochany. Takie śniegi wysokie, a to drzewo, nie wiadomo, gdzie to drzewo będzie lecieć. To jeszcze nas zabije. Trudno będzie uciec z tego tunelu”. Ale pocięli te drzewa, spadło i kazał obciąć tymi toporami to drzewo i na kupę to zwałił i kazał... I zapalił ten cały rosyjski, ten, co on miał nadzór nad nami. I to paliło się wszystko, i to można się było wtedy, co zagrzać trochę, bo tak to by człowiek umarł. Tu jak sobie stanął, tutaj ciepło, tu zimno. Ale to później tu się zagrzał i trzeba było dalej pracować. I to później to liczyli, ile drzew się ścięło, ten dziesiętnik nazywał się, to on chodził, mierzył to później na jakie kawałki to trzeba było przerzedzać, a oni to później zwozili albo traktorami, albo końmi i ładowali, nazywali gruszczyki, te wagony. Co były takie wąskie kolejowe, co to do głównej stacji przywozili do tartaka, a tam tartak był. Był to ogromny tartak, przeżyłali to na cztery. Później ja to robiłem tak chyba pierwszy rok przy ścinaniu tego drzewa, a później dostałem się właśnie do tego tartaku tam, odbierać te spały, czyli pierwsza klasa, druga klasa. Pod tory kolejowe. To odwozić. A ten tartak to był ogromnie duży. To takie ogromne drzewa były, to tak czterech albo pięciu ludzi. Oni to tak przygotowywali do cięcia tego, do obrobienia te garbusy, to palili w tych kotłach, co parą. Bo to wszystko na parę było. Ten tartak na parę był. To tam moja siostra te garbusy nosiła do tego pieca zbierała na plecach i nosiła, i do tego pieca tam kładła. Ile tam była potrzeba, to ona była i tam jeszcze inni byli. A ja z takim, nazywał się Karkut, wagonetkami odwozili tak daleko później, bo to trzeba było później te spały układać, jak już tam nabyło pełno nacięte i układać na specjalne, jaki numer, tam i tam. To straszny ciężar był. Jezus kochany. Ciężka praca, bo tam te trociny przewozili, to nawalili, to trudno było pchać to. Trzeba było to... Jeden ciągnął, ten Karkut, biedny ciągnął, a ja pchał znowu. I tu trzeba to brać, przekładać ciężar, bo to surowe wszystko. Tylko to była strasznie ciężka praca, Jezus kochany. To była druga zima właśnie. A ten tartak, a te kloce były takie ogromne, bo to czasem takie... Nie takie, co było można... Dwóch ludzi nie obstarwiło ich. To ci ludzie to przeważnie brali takich, co to byli dosyć tacy... Nauczyciele nawet i nie było wyjątku, czy tam nauczyciel, czy tam policjant, bo oni tam policjantów wszystkich zgładzili. Później tam zabrali gdzieś. Ale tych ludzi... Takie chłopy były tęgie i ogromne, tęgie, to oni te kloce musieli, bo ten tartak, jak przecinał, to takie tam tym, co ten operował taką wajchą, to oni musieli ten kloc obrócić w tę stronę, obrobić. Jak już obrobił, a ten tartak to tak silnie szedł, tylko... I już przeciął jego. Się strasznie spieszyć, żeby znowu przekręcić tego dużego kłoca i znowu na drugą stronę przeszedł tak na takie, jak już był taki, a później dopiero na te spały, bo jak

już były obrobione, to przecinali go albo przez środek, a później na cztery części, czy to na sześć części. A te biedne chłopcy, powybiali takich fest chłopów, to oni musieli się spieszyć. To później biedny taki nauczyciel był, z Krosna pochodził. Nie wiem, jak on tam się znalazł. Taki gruby był. To później za jakiś miesiąc, to się trzy razy spodniami... Bo pogubili, jedzenia tak nie było, a pogubił to wszystko ciało, tylko później musiał te spodnie, a przecież spodni nie było, tylko musiał te same spodnie. To dwa razy się opasywał dookoła, bo już tyle zginęło jego tłuszczu. Jezus kochany. To było tak, niby to śmiech, ale to była kara boska. Ale wtenczas to tak się... I w tych barakach, ale w tych barakach nie było nic. Trzeba było spać, kto coś miał. Ani jakieś tam prycze, bo później jak rozdzielili to wszystko, to później podawali więcej miejsca. Każdy dostał w innym baraku i więcej miejsca już było, ale z początku to tak naładowali pełno ludzi tu, a później już tak miał więcej miejsca. Możesz mieć tak, mieć siak. Jak to tutaj, bo to ogromne baraki. Takie duże były. A w tych barakach człowiek tak na tych pryczach podłożył jakąś tam kapę, że jak tylko było ciepło, bo na środku był ten piec, a drzewa to było tam pełno wszędzie, to każdy nawiózł tego drzewa i paliło się, to ciepło. A to trudno było spać, bo to przespał się w tym, co miał na sobie, to w tym spał. Ani to nie było żadnych kąpieli, ani nic. A do tego pluskwy tam w tych pryczach. Jezus kochany, pluskwy się rzuciły, to ja pamiętam, że ugryźł mnie tutaj, to trzasnął go w nocy gdzieś tu, to krew później z tego wyszła, bo to pluskwy to ciągną krew z człowieka. Za jakiś czas to później pluskwy, później to wszy się zamnożyły. Rany Jula. No, ale już przyszedł czas, następny rok, już gdzieś tak kwiecień czy co i przyszedł ten, co nas pilnował, te baraki, bo to był policjant, co pilnował całą noc. Przychodził w nocy z latarką i świecił, czy wszyscy są. A gdzie to człowiek będzie uciekał na Syberii? Gdzie pójdzie? Nikt cię jedzenia nie da, ani gdzie pójdzie. Najbliżej było do miasta, gdzieś tam może z 15 kilometrów jakieś miasteczko małe, co tam mieli, co tam sprzedawali te, jakieś tam małe rzeczy, te kontadyny, bo tam były jakieś osady, gdzieś tam były z tych niewolników tam już było może drugie albo trzecie pokolenie. To już się tam usadzili dobrze. Mieli jakieś tam ogródki, co sadzili ziemniaki, kartofle, kapustę czy tam cokolwiek i sobie jakoś tam chowali jakieś tam, jakąś trzodę, to jemu tam już lepiej było. A dla nas nie było nic, tylko chleba dla każdego przedzielili tyle i tyle chleba. Na roboczego 600 gram jakieś i chleb to tak jak ta kanapa czarna. Ale raz w tygodniu przywozili jakiś biały chleb. Raz w tygodniu. I tego chleba... A 250 gram czy tam 200 dla dzieci małych. A to było wszystko za mało. No i więcej nic. Jak już później zarobił, to ci tam tyle i tyle dali, ileś zarobił, bo musiały wyrobić normę. Jak już wyrobił normę, a normy to były coś 300 z czymś norm, to tylko wyrobiło kilku takich z stachanowców polskich. Niektórzy, kilka członków z naszych kolonii, tam byli dość zdrowi chłopcy i jeszcze jakoś wyrobili tę normę, to oni już dostawali więcej pieniędzy i więcej chleba mogli kupić. A ty jak żeś nie wyrobił normy, to tam tyle i tyle gram, a to było wszystko za mało. Dwa lata to się nic nie wie, ani mleka, ani masła, ani mięsa. Nikt nic nie wiedział tego, tego, co mógł może gdzieś tam z jakiegoś kontadyna gdzieś kupić, coś, jakbyś jakieś miał pieniądze. Ale na następny rok już troszkę było lepiej, bo już myśmy ukopali jakiś tam ogródek małe koło tych baraków, posadzili kapustę. Tam sześć, cztery czy tam pięć tygodni była, od razu się zrobiła, jak się zrobiła wiosna, to wiosna i za cztery czy za pięć miesięcy zima od razu. I przyszedł ten cały policjant i mówi: „Dzisiaj jesteście wolni”, powiada. „Jesteście wolni, możecie sobie tutaj mieszkać i pracować, a jak chcecie, to sobie gdzieś gdzie indziej, ale tylko w Rosji. Nie wolno nigdzie wam się więcej. Nie pozwalam jechać, tylko w Rosji”. Ale tam chłopcy się zebrali, mówi: „Wiecie panowie, stąd musimy się wydostać, bo tu wymarzniemy i zginiemy”. „Ale gdzie?” „A, gdzieś tam w kierunku na środkowy wschód jest tam jak w kierunku Taszkentu tam”. I zebrali się takich parę, co tak mądrzejszych mężczyzn, kolonistów, mężczyzn i możecie jechać gdzie chcecie, ale tylko to, no, jeźdźcie, gdzie chcecie, gdzie Rosjanie mają swój... Jedziemy w kierunku tam Taszkentu, środkowy wschód, tam Uzbekistan, Kirgistan. Ale trzeba było wykupić wagony.

Rafał Pękała: Bilety, tak?

Edward Krupa: Proszę?

Rafał Pękała: Bilety, tak? Trzeba było kupić. Bilety?

Edward Krupa: Jak ile?

Rafał Pękała: Bilety. Co trzeba było kupić? Wagony czy bilety?

Edward Krupa: Ci mężczyźni pytali: „Kto chce jechać z państwa?”, a to ja byłem najstarszy, ojciec już zmarł, ojciec tylko żył sześć miesięcy i zmarł na Syberii. Bo on tam już nie miał dobrego zdrowia z pierwszej wojny światowej. A ja byłem najstarszy, to ja zastępowałem jako ojca. I moja matka. To my się dołączyliśmy do tych mężczyzn. To było jak czterech gości takich mądrych. I byli dość zdrowi, bo oni wyrobili te normy, to tam dostawali więcej trochę jedzenia. A później to ostatni rok to już trochę dostawali my te pimy takie. To było bardzo dobre. Ja też dostałem takie filcowe buty. To było wspaniałe. To było dobre, wie pan. I kufajki te. Kufajki takie watowe to były też. I to ja też dostałem, bo jako dobry robotnik i moja matka dostała też jakieś i mój brat dostał też. I te pimy to już był, trochę lepiej było w ostatnią zimę. Troszeńkę lepiej, bo lato nadeszło i te małe dzieci... A w lasach się rodziło bardzo dużo grzybów i tam różne w tych lasach. Różne poziomki, różne owoce. To te małe dzieci poszły i nazbierały tych jagód, a już później latem, to moja matka jak się zaczęło, to gotowała zupę, to przeważnie z pokrzyw, z takich różnych tam takich, coś z jakiejś trawy tam. Ale pamiętam jak nazbierali pokrzyw i z pokrzyw gotowali. To te zupy gdzieś tam, ale to nie było czym omaścić ani nic. Nie wiem, jak oni tam. Ale to się jadło, co się mogło, żeby się... A później te dzieci nazbierały tam czasem, te młode takie, grzybów, jagód, bo to... I mama poszła tam na kołchozy, to zanosila, bo Rosjanie nie mogli sobie tego nabrać, bo musieli do pracy iść. To kupowali. To matka trochę zbierała trochę więcej pieniędzy, bo sprzedawała wczesne grzyby i tych jagód trochę tam, jakie to tam były, czy poziomki, czy borówki czy tam coś. I już prawie... No i te pieniądze, co myśmy zarabiali, to wszystko myśmy oddawali do mamy, a mama to wszystkim rozdawała, dawała. A dzieciom potrzeba i kupić, czy co. A tam stali na więcej...